ROZMAITOŚCI.

Dnia 18 stycznia, Ner 3. roku 1845.

Czarny starosta.

(Ciąg dalszy.)

Na trzy dni przed rozpoczęciem nowéj elekcyi oznajmiono w pałacu księcia Wiśniowieckiego nazwisko, którego dawno tam nie słyszano: byłto podskarbi Ossoliński. Książę-kanclerz spojrzał zdziwiony, lecz nie bez widocznego zadowolenia na pokojowca, który tę przyjemną wiadomość przyniósł, i rozkazał wprowadzić natychmiast pożądanego gościa. Miał on wprawdzie zawsze jeszcze nadzieję, iż podskarbi znowu będzie szukać zbliżenia, ale po stanowczym oporze, jakiego przy ostatniéj elekcyi od niego doznał, nie sądził wcale, aby to się w tak otwarty sposób stało.

Po pierwszém obojętném powitaniu usiedli obaj, a Ossoliński zaczął do księcia głosem, który ozraczał, iż mu z serca pochodził, chociaż dumie nie ubliżał: »Byliśmy długo sprzecznego zdania, mości książę; widząc mię tu przed sobą, pozwól mi tuszyć, iż nas może obecna chwila połączy; mam cię bowiem za męża, któremu przedewszystkiém o dobro naszéj spólnéj ojczyzny chodzi, chociaż go na odmiennéj odemnie drodze szuka.»

»Wyrzekliście moje najszczérsze przekonanie,» ozwał się książę-kanclerz; „a to też przejmuje mię pocieszającą nadzieją, iż zechcecie wreszcie uznać, że jedyną drogą do zbawienia Polski prowadzącą, jest ta, którą ja postępuję »

»Ta, która nieprzyjaznych cudzoziemców do kraju wzywa?» zawołał Ossoliński.

„Któż to śmie twierdzić?» zapytał spokojnie książę.

»Nie chcecie przyjąć króla-rodaka,» mówił daléj podskarbi — »przenosicie nadeń zagranicznego książęcia, który tylko dba o zysk własny i własną sławę, któremu opłakane położenie naszego kraju zupełnie jest nieznane, a który przeto pomimo najlepszą wolę, nie zdoła nam dać téj pomocy, jakiéj nam dzisiaj nieodzownie potrzeba.»

„Dostojny elektor, za którym z najgłębszego przekonania głosowałem," — odrzekł książę Wiśniowiecki — »zna dobrze położenie naszéj ojczyzny, któréj korona spoczywała już na głowie jego sławnego ojca; a gdyby jaka wątpliwość zachodziła, natenczas nie braknie mu wiernych i sumiennych doradzców, którzy go dostatecznie względem potrzeb kraju oświécą. Ze wszystkich zaś obecnych do tronu kandydatów, on jeden jest dość potężnym, aby w razie potrzeby miał też czém poprzeć swoję królewską wolę.»

„Czyż może za pomocą wojsk cudzoziemskich?» zagadnął Ossoliński; »lub gdy mu jego Sasów nie stanie, za pomocą innego ościennego mocarstwa, którego armije przekroczyły już w części granice Rzeczypospolitéj? I tyż książę Michale, potomku tego Michała, który polską koronę nosił, nie wzdrygasz się przed hańbą naprowadzania zbrojną ręką cudzoziemców na świętą ziemię naszéj ojczyzny!»

Ale któż temu winien?» odparł z żywością kanclerz. »Któżto przymusza nas chwytać się tego ostatecznego środka, którym nasze serce się brzydzi? Czyjeżto zaślepienie wtrąca naszę nieszczęśliwą ojczyznę w przepaść, i zniewala nas, którzy bezprzesądnemi oczyma widzimy zagrażającą jéj zgubę, do opiérania się temu nieszczęsnemu zaślepieniu, chociażby nawet za poniewolną pomocą cudzoziemców —?»

»Nieba! i tenże zarzut...!» zawołał Ossoliński.

»Aż nadto sprawiedliwy,» przerwał mu kanclerz. »Wiém ja, iż wasze chęci są dobre, lecz łudzicie się pięknemi marzeniami, które niestety nigdy się ziścić nie mogą, a tymczasem, uwiedzeni tą złudą, nie poznajecie się na istotném położeniu naszego kraju i podniecacie burze, które się nie dadzą inaczéj już uśmierzyć, jak tylko wszystko przemagającą przemocą. Stan nasz, jak sami wiécie, jest niebezpiecznym; choroba Polski wymaga doświadczonego i surowego lekarza — a takim były wojewoda poznański nigdy dla nas nie będzie.»

»Czemuż przynajmniéj nie chcesz, mości książę, nazywać go tym tytułem, jaki mu jedyną nagrodą wszystkich jego nieszczęść pozostał?« zarzucił podskarbi.

»Szanuję króla Stanisława,» — ozwał się książę — „byliśmy nawet niegdyś przyjaciołmi, lecz do

należytego piastowania korony polskiej zbywa mu na najpotrzebniejszym warunku — na potędze.»

»My — jego wierni rodacy — jesteśmy tą potęgą!» zawołał podskarbi z zapałem. „O, nie odwracaj się ode mnie z tém lekceważeniem, książę! Nasze piękne marzenia nie są bynajmniéj urojoniami! Jeszcze szlachta polska połączy się na świętą myśl ojczyzny w potężne, groźne, nierozerwane ogniwo, a wtedy powrócą znowu zwycięzkie czasy Chrobrych i złote Jagiellonów! Gdy zaś nasza Polska swoję dawną cześć i powagę za granicą odżyszcze, i będzie znów poszanowaniem dla sprzymierzonych a grozą dla nieprzyjaciół, natenczas będzie mogła dobrotliwa ręka mądrego i łagodnego króla działać równie dobroczynnie też wewnątrz, i przyjdzie wreszcie do tego, iż kiedyś nasza ziemia tak przemożnie zakwitnie, jak ona tego godna i zdolna. Król jest tutaj, podaje ci rękę książę, tobie, swemu dawnemu przyjacielowi — o nie odtrącaj jéj od siebie!»

»On tutaj? Stanisław Leszczyński tutaj?» pytał książę zdziwiony.

»Jest w Warszawie,» rzekł Ossoliński. »Przynoszę ci, książę, szczére od niego pozdrowienie wraz z prośbą, abyś go raczył odwidzić i pomówić z nim otwarcie, bez ogródki, jak na mężów przystoi.»

„Ale jakże tu przybył?» powtórzył książę-kanclerz. »Nie pojmuję jak się to stało, iż go żadna pogłoska nie poprzedziła!»

„Musiał on wprawdzie ukrywać się pod niegodną swojéj osoby maską, aby stanąć bez przeszkody pomiędzy tym narodem, który go niegdyś na króla swego wyniósł,» — odpowiedział podskarbi — »lecz ufa jeszcze sercu wiernych przyjaciół i przychodzi, jak Boga za świadka wzywa, w najczystszym zamiarze uszczęśliwienia Polski, do czego czuje w sobie i mocną wolę i siłę.»

Książę-kanclerz powstał był z krzesła i przeszedł się po pokoju. »To nie dobrze!» rzekł wreszcie niespokojnie. „Może ztąd łatwo wybuchnąć pożar, który i nas pochłonie! Jeżli to nieszczęsne za sobą pociągnie skutki, wina tego spadnie na jego duszę!»

»Posłuchaj jego prośby,» — mówił usilnie Ossoliński — »skłoń się spaniałomyślnie ku niemu, odstąp niegodnego cudzoziemca, a cała Polska przejdzie wraz z tobą na stronę swojego nowopowróconego króla, i żadne już nieszczęsne skutki zagrażać nam nie będą.»

»Przypisujecie mi zbyt wielkie wpływy, panie podskarbi,» ozwie się Wiśniowiecki. »Jam tylko jedna pojedyncza osoba.»

»Lecz przyjdziesz — książę?» zapytał niecierpliwie podskarbi. »Mogęż donieść królowi?»

»W téj chwili niepodobna mi być u niego,» rzekł kanclerz. »Lekarz zakazał mi wychodzić. Powiedźcie królowi iż słabość jedynie zdołała mię wstrzymać od korzystania z tak zaszczytnego wezwania.»

»Obyś tego nigdy żałować nie musiał, książę, iżeś tak wzgardliwie odepchnął rękę królewską,» odpowiedział pan Ossoliński, zabierając się do odejścia.

Książę milczał ozięble; już był pokonał pokusę i pożegnał z wymuszoną grzecznością podskarbiego. Przy odejściu zatrzymał się pożegnany na chwilkę i rzekł wzruszonym głosem: »Piękną nadzieję pokładałem w téj rozmowie; piękną nadzieję dla ojczyzny i — dla siebie samego. Niechże Bóg łaskawie naszémi sprawami kierować raczy!»

Poczém rozstali się z sobą, a te ostatnie słowa były jedyną wzmianką o uczuciach, za pomocą których mniemał książę-kanclerz sprowadzić nieznacznie podskarbiego na swoję stronę Lecz mu się to nie powiodło, i niechętny więc przechadzał się po komnacie i mówił na pół z gniewem do siebie: »Gdyby Matylda była Polką, wszystko innąby postać miało. Ale tam ani skry ognia, ani kropli krwi w tych żyłach! Same mléko i księżycowe promienie. Jéj potrzeba męża, jak starosta Tarczyński, aby ją znowu przenarodowić, — a przysięgam że mu dotrzymam słowa. Tak przynajmniéj jego pozyskam, i będę miał silną podporę, jakiekolwiek wypadki zajdą.»

Podskarbi tymczasem wrócił z zasmuconém sercem do króla Stanisława, mając zdać sprawę z zawiedzionéj nadziei. — »Niech czyni, jak mu się lepiéj zdaje,» rzekł król łagodnie o kanclerzu, gdy mu Ossoliński jego nieugięty upor wystawiał »Bogda, że i bez niego dopniemy celu.»

Jakoż zdawało się w istocie, że ujmująca osobistość królewska z czasem wszystkie sprzeczne żywioły zjedna. Prymas Potocki postąpił sobie nieroztropnie, broniąc zbyt gwałtownie elekcyi Leszczyńskiego; zrażona tém szlachta obstawała tém mocniéj za bezwarunkową niepodległością wyboru, a niejeden, który się już na stronę Stanisława przechylał, odstąpił znowu, gdy prymas wyraźny rozkaz popierania sprawy Leszczyńskiego ogłosił. Aż oto zjawił się sam Stanisław; jakgdyby cudem stanął, od kilku lat wygnaniec, w murach swojéj dawnéj stolicy; pokazawszy się kilkokrotnie publiczności, ujmował sobie swoją zachwycającą prostotą i uprzejmością coraz więcéj serc wiernych i coraz większe stronnictwo. Obudziły się dawne wspomnienia, opowiadano młodszemu pokoleniu dziwne życia jego wypadki: jak będąc wojewodą poznańskim został w imieniu konfederacyi wielkopolskiéj wysłanym r. 1705 do króla szwedzkiego Karola XII, który zwyciężywszy króla Augusta II, ogłosił wakancyję tronu; jak sławny bohatér szwedzki upodobał sobie młodego, światłego wojewodę, wyjednał mu koronę i przymusił nawet Augusta, w rodzinnéj jego Saxonii, do uznania prze-

ciwnika za króla; jak wreszcie Stanisław, tylko cztery lata koronę polską nosiwszy, musiał wskutek zgubnej klęski swojego potężnego niegdyś obrońcy, ustąpić znowu miejsca Augustowi II, i nie unosząc nic z sobą jak tylko tytuł królewski, tułać się najprzód w rodzinnem królów szwedzkich księstwie Dwumostskiem, a potem we Francyi, gdzie osobliwszym zbiegiem okoliczności, córka jego Maryja królową najpiękniejszego w świecie państwa została, a jemu po śmierci króla Augusta nowa nadzieja odzyskania korony polskiej zabłysła. Wszystko to powtarzano sobie teraz z upodobaniem; wiele szlachetnych rysów jego charakteru rokowało najpiękniejszą pociechę z jego rządów, gdyby tylko dostąpił tronu, a tak z nadzwyczajną niespokojnością, i śród codziennych utarczek pomiędzy stronnictwami, które nie samym tylko językiem wojowały, czekano na ów dzień 12sty września, kiedy nowa elekcyja przedsięwziętą być miała.

Nikt jednak nie bronił z takim zapałem sprawy króla-rodaka jak Kazimira. Nosiła jego obrazek na piersiach i o nim tylko mówiła. Łatwo więc pojąć, iż przy takich okolicznościach zalotne oświadczenia Mokronowskiego nie w nader pomyślną porę trafiały. Obchodziła się z nim bez najmniejszego względu, żartowała sobie z jego namiętnych przysiąg, i dopiero po kilku dniach postrzegła, iż nosił prawą rękę na temblaku.

»W jakimże to boju zdobyłeś wpan tę szarfę?« zapytała szydersko.

»Powód tego boju powinien być pani wiadomym,« odrzekł młodzieniec. »Pewna dama zabłądziła jednego razu na polowaniu; ja znajdowałem się pomiędzy tymi co jéj szukali, a ztąd wynikła sprzeczka, która się tą raną zakończyła.«

»Toż się wpan z starostą Tarczyńskim rozprawiałeś?« powtórzyła Kazimira pytanie, lecz z obudzonym nagle udziałem.

„Tak jest,« odpowiedział oziębłe zapytany, — »przy niespodzianem spotkauiu, gdzie korzyść na jego stronie była. Jednak nie koniec na tem; jak tylko wyzdrowieję, obaczymy się znowu.«

»Odstąp pan od tego zamiaru!« zawołała Kazimira z żywością. »Nie sprostasz nigdy staroście w boju.«

»Któż wié?« odrzekł dotknięty wewnątrz młodzieniec. Poczem dodał zawzięcie: »Przyjdzie czas jeszcze, że tego Turka tak przytrę, iż się pani nikczemnym karłem wyda.«

Kazimira spojrzała prawie z gniewem na mówiącego. »Strzeż się panie Mokronowski, abyś nie pożałował,« rzekła odwróciwszy hardo głowę od niego; a po chwili dopiero zapytała: »Lecz czemuż zwać go Turkiem?«

»Bo prawda,« odpowiedział przeciwnik Tarczyńskiego. »Całemu światu wiadomo, iż jego ojciec przywiózł z sobą brankę turecką, któréj synem jest nasz czarny starosta. Ztąd to ta dzikość charakteru, te bezprawia i gwałty, jakich się na chrześcijanach dopuszcza, te mordy i pożogi...«

Kazimira nie słuchała go daléj; odeszła nieprzyjemnie wzruszona, i tego samego wieczora jeszcze, lecz tak, aby nikt żaru oczu jéj nie dostrzegł, zapytała swojego stryja, czyli to prawda iż starosta Tarczyński jest urodzony z Turczynki.

Podskarbi potwierdził to z dodatkiem, iż wzięta w niewolą Turczynka była córką znakomitego baszy, i że dopiero przeszedłszy na wiarę chrześcijańską, została poślubioną panu Adamowi Tarczyńskiemu, ojcu terazniejszego starosty.

»Niektórzy sądzą,« — zakończył Ossoliński — »iż to jego pochodzenie z matki Turczynki tłumaczy niejednę niepochlebną osobliwość jego charakteru. Lecz ileżto Polaków z ójca i z matki nie dopuszczają się jeszcze większych zdrożności!...«

*

W pałacu księcia-kanclerza panowała niezwykła skrzętność. Liczna służba cisnęła się po schodach i na dziedzińcu, znosząc kufry, tłumoki i różne sprzęty podróżne, które ładowano na stojące na dole bryki: byłto wyjazd, i jak się zdało, na długo. Książę Wiśniowiecki przewidywał iż dzień jutrzejszy może się niebezpiecznie rozstrzygnąć, i chciał przeto być na wszelki wypadek przygotowanym. Wysłał tedy małżonkę i siostrzenicę do odleglejszych dóbr w głębi kraju, gdzieby spokojnie przeczekać mogły, aż póki zagrażająca teraz burza się nie uciszy. On sam także poczynił stosowne kroki dla zapewnienia swojego bezpieczeństwa, gdyby jutrzejszy wybór miał wypaść przeciwnie jego życzeniom. Ostatnia pożegnawcza wieczerza zgromadziła małą liczbę najznakomitszych stronników saskich, którzy jeszcze niektóre najważniejsze pytania roztrząsnąć chcieli. Wszyscy się już zebrali, oprócz jednego starosty Tarczyńskiego.

»Przecież nie zechce się nam sprzeniewierzyć?« ozwał się pewien podeszłego wieku jegomość. »Przyznam się szczerze, iż mi się jego postępowanie nie podoba. Okazywał się w ostatnich czasach nadzwyczaj oziębłym dla całéj saskiéj ambasady, a mianowicie dla hrabi Ortenburga.«

»Nic to nieznaczy,« odrzekł książę z uśmiechem. »Wiém ja dobrze przyczynę téj oziębłości, panie Poniński. Nie ma ona żadnego związku z polityką.«

„Mimo to jednak, nie należy zaufać zbytnie staroście,« wtrącił jeden z prałatów, biskup krakowski, Lipski. »Niéma on żadnego poszanowania dla kościoła; zewsząd dochodzą mię skargi duchowieństwa na niego, a że kacerskim zdaniom sprzyja, jestem sam o tém przekonany. Tylko prawdziwie katolickie umysły mogą nam być pomocne.«

*

W tej chwili oznajmiono starostę, który też natychmiast wstąpił do sali. Wyrzekł kilka nie bardzo ważnych przyczyn na usprawiedliwienie swojego opóźnienia i okazywał się przez cały czas wieczerzy ponurym i małomownym. Będąc wezwanym do wynurzenia swojego zdania, rzekł ucinkowo: »Cóż pomogą te wszystkie mądre rady i spory. Wkońcu musi przecież szabla rozstrzygnąć. Tejto chwili ja oczekuję, panowie, a wtedy możecie liczyć na mnie.»

»Dopokąd jednak nie zniknęła jeszcze wszelka nadzieja zgody,» — ozwał się biskup krakowski — »dopotąd nie godzi się uciekać zapamiętale do broni. Upraszam cię owszem, wielmożny starosto, abyś przy jutrzejszej elekcyi...»

»Nie będę na elekcyi,» przejął starosta.

»Jakto! Nie będziesz przy elekcyi, panie Tarczyński?» ozwali się zdziwieni goście. »I dla czegoż?»

»Mam nadzieję wyświadczyć jutro Rzeczypospolitej większą przysługę, niż gdybym osobiście pod Wolą się znajdował;» odpowiedział starosta.

Obecni nie zdawali się być zadowolnieni temi słowami, lecz książę-kanclerz stanął w obronie Tarczynskiego i rzekł: »Dajmy temu pokój panowie. Nasz starosta lubi w każdym razie iść za swoim własnym popędem; ręczę wam jednak, iż w stanowczej chwili przyspieszy nam na pomoc.»

W dalszym ciągu rozmowy stawał się czarny starosta coraz bardziej ponurym i zamyślonym; uważano tylko, iż pił więcej wina niż zwykle. Po skończonej wieczerzy, gdy już wszyscy rozchodzić się mieli, wziął go książę na stronę i rzekł do niego: »Jeżli nie chcesz być jutro wraz z nami na elekcyi, tedy prosiłbym cię panie starosto, czybyś nie zechciał towarzyszyć przez kilka godzin mojej żonie i siostrzenicy, któreby bez ciebie na jakie nieprzyjemności wystawione być mogły. Sądzę przecież» — dodał z uśmiechem — »iż moja prośba, towarzyszenia Matyldzie, nie wyda ci się natrętną.»

»Natrętną... cóż mówisz, książę?» odrzekł starosta roztargniony. »Lecz zapewne dzis jeszcze jadą — dziś właśnie...»

»Nie, aż jutro rano;» przemówił książę powoli, uważając zmieszanie starosty. »Skoro ci jednak moją prośbę z przykrością spełnić przychodzi...»

»Z przykrością! Ach bynajmniej!» zawołał nagle starosta. „Przeciwnie, jestem uszczęśliwiony! Przyjmuję z roskoszą twą prośbę, książę! Czy pozwolisz, abym się przedstawił natychmiast damom, jako, na krótki czas przynajmniej, towarzysz ich podróży.»

Księżna była cierpiąca i nie mogła się widzieć z starostą. Sama więc tylko Matylda przyjęła go w obecności swojego stryja, który wszakże po krótkiej chwili udał się do przybocznego gabinetu swej żony, podczas gdy Tarczyński sam na sam z Matyldą został.

»Możeś pani nierada temu, iż ci mam towarzyszyć?» zapytał przybliżając się do niej, i wlepiając w nią swoje południowym żarem tlejące oko.

»Jakże coś podobnego pomyśléć można, panie starosto;» odezwała się niespokojnie Matylda. »Będziemy ci owszem wdzięczne za towarzystwo.»

„Prawisz wciąż o wdzięczności, piękna pani;» — mówił dalej Tarczyński — »lecz w niczém jéj nie okażesz. Czyżeś pani już zapomniała ów wieczór, gdy tylko twoje słowo jedynie wstrzymało mię od dopełnienia zaprzysiężonej zemsty?»

»Nie zapomniałam tego,» odpowiedziała Matylda; »i zawsze też z duszy ci za to wdzięczną byłam, panie starosto.»

»Wdzięczną próżnémi słowy!» zawołał starosta żywo. »Nie znaszże innego sposobu okazania tego uczucia? Nie miałażbyś pani domyślić się już dotąd, ile czuję dla ciebie? I gdy moje oko tylko ciebie wszędzie postrzega, gdy moje piersi przy tobie, jakby wulkanem wichrzą, gdy płomienna żądza posiadania ciebie o pani, porywa mię szalenie i unosi — ty, niémasz dla mnie nic więcéj, oprócz zimnych i ugrzecznionych słówek?»

»Panie starosto!.. Ta mowa.... Ledwie pojmuję... proszę pana...» mówiła z drżeniem Matylda, przestraszona tą gwałtowną, bezwzględną namiętnością.

Starosta tymczasem ujął silnie jej rękę, otoczył śmiałém ramieniem jéj wiotką kibić, i — „Matyldo!» zawołał. »Będziesz — musisz być moją, chociażbym miał postradać niebo dla ciebie! Przysięgam, niechaj nikt pomiędzy nami nie staje, komu miłe jest życie!»

Matylda wyrwała się na siłę jego objęciom, i rzuciwszy nań łzawym wzrokiem najświętszego gniewu obrażonej dziewicy, oddaliła się szybko do gabinetu, z którego właśnie stryj jéj wychodził.

»Mam twoje słowo, książę!» zawołał nań uniesiony starosta. »Czyż nie?..»

„Masz, panie starosto;» odpowiedział książę. »Jeżeli ..»

»Bez żadnej wymówki!» przerwał Tarczyński. »Wszystko, coby się twemu słowu sprzeciwiać mogło, podejmuję się wnet usunąć. A ujrzysz, książę, iż znajdę środki po temu.» Co wyrzekłszy począł nanowo zaklinać księcia, aby przedstawił Matyldzie, iż jemu jest przyrzeczona, i że danego mu raz słowa, nic odmienić nie może

Późno już w nocy było gdy czarny starosta wracał z pałacu księcia do domu. Wysilony gwałtownością swojego poprzedniego wzruszenia, rzucił się niedbale na rozścielony kobierzec, i zwiesił w ponurych myślach głowę. Mimo iż liczne światła gorzały wkoło na sali, zdało mu się jeszcze zbyt ciemno, i kazał podwójną liczbę zapalić. Nareszcie ujrzawszy jednego z dworzan — »I cóż, Tyszka?» zapytał. »Przyjdąż?»

»Przyjdą panie wszyscy,” — odrzekł dworzanin — »oprócz jednego podskarbiego.”

»Jakto, oprócz Ossolińskiego!” obruszył się starosta. »Czyliż już poraz drugi stanąć mi nie chce?”

»Pan podskarbi kazał oświadczyć,” opowiadał daléj dworzanin — »iż bawił dosyć długo w Warszawie, oczekując codziennie wezwania pana starosty, aby się z nim rozprawić Jutro zaś, gdzie inna świętsza sprawa usług jego wymaga, nie może przyjąć wyzwania, od którego tembardziéj powinien się wymówić, iż ono tylko oderwanie go od pełnienia należnych Rzeczypospolitéj obowiązków, zdaje się miéć głównie na celu Po skończonéj jednak elekcyi nie omieszka dać żądanego zadośćuczynienia, kiedykolwiek pan starosta go wezwie.”

Tarczyński zmarszczył ponuro brwi i mruknął jakieś przekleństwo. »Lecz inni?” zapytał wkońcu.

»Wszyscy inni, których pan starosta mnie wymieniłeś,” — rzekł Tyszka — »będą się stawić o wyznaczonéj godzinie, w saskim ogrodzie; sam tylko młody pan Mokronowski nie może stanąć, gdyż rana jego nie pozwala mu jeszcze robić dotychczas bronią.”

»Tak mocno go więc zadrasnąłem?” roześmiał się Tarczyński.

Poczém odprawił dworzanina, i oparłszy głowę na ręku, leżał z pół godziny z przymrużonémi oczyma, chociaż jego krótki i niespokojny oddech dostatecznie okazywał, iż nie spi, lecz tylko o czémś marzy.

Byłoto istotnie zręcznie ułożonym planem starosty Tarczyńskiego, iż wszystkich swoich przeciwników, którzy bez wyjątku do przeciwnego należeli stronnictwa, wyzwał podczas saméj elekcyi do wywalczenia dawnego sporu. Spuścił się był przytém po części na zwyczajną gotowość szlachty polskiéj do przenoszenia własnéj prywaty nad wszelkie sprawy publiczne, po części też na zaciętą nienawiść, jaką wszyscy ku niemu z dawna pałali. Jakoż sam tylko szlachetny Ossoliński zawiódł jego podstępny zamach. Ale chociaż on jeden odmówił, była strata przeciwnego stronnictwa, którą jéj stawienie się reszty wezwanych osób do boju ze starostą groziło, dość jeszcze znaczna, aby mu szczere sprawiła zadowolenie.

Lecz następne wypadki zniweczyły jego całe wyrachowanie. Cios którym on przeciwną stronę porazić mniemał, zwrócił się niespodzianie przeciw niemu samemu i przyspieszył daleko prędzéj jego własny upadek, niż to jego najzawziętsi nieprzyjaciele przypuszczać śmieli.

Pierwszym obowiązkiem, który Tarczyński nazajutrz wypełnić musiał, było towarzyszenie księżnéj-kanclerzynie przy jéj wyjeździe z miasta. Ta sposobność dłuższego widzenia Matyldy, która w każdym innym razie byłaby go najżywszą napełniła roskoszą, sprawiała mu teraz niemałą przykrość, gdyż odrywała go w inną stronę w téj chwili, kiedy uczynione przeciwnikom wyzwanie wymagało jego bytności w saskim ogrodzie. Nie mogąc jednak żadną miarą niedotrzymać danego księciu Wiśniowieckiemu słowa, za którém oprócz tego tak silnie głos serca i dzika namiętność przemawiały, udał się corychléj do pałacu kanclerza i zastał księżnę z Matyldą właśnie już na wsiadaniu.

Wilgotna mgła jesieni unosiła się nad Warszawą i zakrywała drogę, na którą za Pragą wyjechali. Milcząca Matylda zapuściła zasłonę na oczy i siedziała skulona w kącie powozu, a niecierpliwie na nią spoglądającéj księżnie zdawało się, jakby z cicha płakała. Wszystkoto podwajało niechęć starosty, który mimo częste wyglądanie księżny z powozu, jechał ponury w niejakiém oddaleniu, myśląc jedynie o naznaczonéj schadzce. Nareszcie odprowadziwszy księżnę do pierwszéj wioski, gdzie już żadna przeszkoda podróżnemu nie zagrażała cugowi, i widząc że Matylda stanowczo wszelkiego zbliżenia się bądźto słowem bądź spojrzeniem unika, wymówił się pilnémi sprawami dnia dzisiejszego od dalszéj usługi damom, i pożegnawszy się z niemi, pognał spiesznie ku Pradze.

W Warszawie tymczasem zaszły były ważne dla starosty zdarzenia. Wyzwani przeciwnicy niechcąc pomimo walkę z Tarczyńskim opuścić swojego stanowiska w chwili elekcyi, zamierzyli rozprawić się z nim jak najprędzéj, aby, jakikolwiek koniec ta walka weźmie, stanąć jeszcze w porę pod Wolą. Z tego powodu przybyli dość wcześnie na oznaczone miejsce i nie zastali tam Tarczyńskiego, który dopiéro powracał do Warszawy. Postanowili więc zaczekać niejaki czas na niego, gdy wtém nowy wypadek, odmienny wcale obrót téj całéj sprawie nadał.

Wyzwanie czarnego starosty było tak publicznie uczynione i obejmowało tyle osób, iż się jeszcze tego samego dnia powszechnie wiadomém stało. Nakoniec doszło ono i do księcia-prymasa, który, jak wiémy, był najgorliwszym stronnikiem Stanisława a oraz rządzcą Rzeczypospolitéj przez cały ciąg bezkrólewia. Ztąd o ile mu na tém zależało, aby utrzymać przewagę swego stronnictwa, która tu przez czarnego starostę wielce zagrożoną się okazała, o tyle też miał prawo zapobiegania wszelkim gwałtownym zamachom, któreby spokojność bezkrólewia naruszyć mogły. Ponieważ jednak swobody narodowe nie pozwalały dopuszczać się żadnego nieprzyjacielskiego kroku przeciw niebezpiecznemu przeciwnikowi, dopokąd jego wina jawnie dowiedzioną nie była, przeto nie pozostawało prymasowi nic innego, jak tylko dowiedziawszy się o wyznaczoném czasie i miejscu schadzki, wysłać kilku ze szlachty do czekających na starostę towa-

rzyszów swego stronnictwa z surowém napomnieniem, aby niezwłocznie wszelkich sporów z starostą zaniechali i raczej natychmiast ku obronie króla Stanisława pod Wolę pospieszyli. Dla tém pewniejszego zaś zabezpieczenia się od tak groźnego nieprzyjaciela, jakim był nasz starosta, wyprawili inni stronnicy téj saméj partyi zbrojną garstkę poufnych dworzan do saskiego ogrodu, rozkazując im przytrzymać tamże starostę, skoro się tylko okaże. Wskutek takich zabiegów stało się w końcu, iż napomnieni przez prymasa przeciwnicy starosty Tarczyńskiego, oczekiwawszy go jakiś czas nadaremnie, opuścili wreszcie ogród saski, i podczas gdy na ich miejscu przeznaczona do pojmania starosty garstka dworzan na zasadzce została, spiesznie na plac elekcyi pod Wolę się udali.

I tam też wzięła nakoniec partyja prymasa górę. Po burzliwych obradach, gdy coraz bardziéj rozszczepiające się zdania, całe nieprzejrzane zgromadzenie najprzód do krwawych pogróżek, a wreszcie do samegoż porwania broni uniosły — książę-kanclerz Wiśniowiecki, nie widząc innego sposobu do ocalenia swego upadającego stronnictwa, ustąpił powtórnie z pola elekcyi, chcąc przeto cały przeciwny wybór zniweczyć. Lecz pomimo tego nieprzyjaźnego kroku ogłosiła większość narodu Stanisława I królem i wysłała uroczyste poselstwo z doniesieniem o zapadłym wyborze do księcia Wiśniowieckiego na Pragę. Dopiero odprawienie tego poselstwa przez kanclerza i jego ostateczna protestacyja przeciw elekcyi Stanisława zniewoliły stronę prymasa do użycia przemocy i wydania otwartéj wojny księciu Wiśniowieckiemu. Tylko szybkiém zerwaniem mostu na Wiśle ocalił się książę od nieochybnéj zguby, a widząc daléj niepodobieństwo oparcia się przemagającym siłom większości, postanowił w swoim nieugiętym uporze szukać pomocy zagranicznego mocarstwa i wezwał wojska rossyjskie, które mu w razie potrzeby dostateczne wsparcie przyrzekły.

Nim jednak to nastąpiło, cały prawie naród uznał Stanisława za króla. Uszczęśliwiony powtórnie nadaną sobie koroną, a jeszcze bardziéj powszechnie z tego powodu objawiającą się radością, powracał Stanisław właśnie z pola elekcyi w towarzystwie najznakomitszych panów swego stronnictwa, a pomiędzy tymi i podskarbiego Ossolińskiego, dla złożenia dziękczynnych modłów do kościoła na zamku. Zdarzyło się przypadkiem, iż w tymże samym czasie nadeszła w jednéj z ulic Warszawy naprzeciw królewskiemu orszakowi garstka owych wyprawionych przeciw czarnemu staroście dworzan, którzy przytrzymawszy go w saskim ogrodzie, prowadzili go teraz — prawie nieprzytomnego — pomiędzy sobą. Na królu Stanisławie uczyniło to spotkanie nader przykre wrażenie. Przytrzymanie starosty Tarczyńskiego było w każdy sposób niesłychanym zamachem na swobody szlacheckie, który tylko powszechnie osławioném imieniem pokrzywdzonego dał się nieco usprawiedliwić. Jakoż pierwszą myślą nowego króla było, aby mu natychmiast wolność wyjednać. Lecz bezprawia czarnego starosty były zanadto liczne i oburzające, aby raz czyjakolwiek ręką schwycony, nie ujrzał nagle tysiąc skarg przeciw sobie wzniesionych, tysiąc głosów o pomstę wołających, tysiąc świadków o najokropniejsze obwiniających go zbrodnie. Zewsząd tłoczyły się grona szlachty, cisnęło się pospólstwo, cały lud, któremu on był postrachem, domagał się jednogłośnie sądu — kary na niego. Uwolnienie go w takiéj chwili mogło było zamiast dowodu łaski, stać się przyczyną niechęci i rozruchu. Wypadało tedy poskromić niewczesną dobrotliwość i oddać winowajcę bezwzględnéj sprawiedliwości.

»Niechaj więc wyrok prawych, nieskazitelnych sędziów rozstrzygnie;« ozwał się król surowo.

»Śmierć! Śmierć zasłużył!« wołały tysięczne głosy wokoło.

»O tém ustawy kraju wyrzekną;« odpowiedział Stanisław z niezwykłą sobie stałością. »Tymczasem, oddaję go waszmości, panie podskarbi koronny; każcie go jako więźnia pilnować, — mając wszakże baczenie, iż był naszym przeciwnikiem, a zatém wszelka zbytnia surowość za chciwość zemsty poczytanąby nam być mogła.«

»Zaprowadzić go zcicha do mojego mieszkania,« rzekł pan Ossoliński do ludzi, trzymających starostę, który zdał się być w letargu pogrążonym.

I tak też uczyniono.

(Dokończenie nastąpi.)

Jaka różnica między sposobem a środkiem?

Już to słowo: między, powiada: że sposób i środek: o miedzę mieszka — że są bliźniaki.

Ale czém się różnią?

Sposób — jakim i w jaki się co dzieje, wymaga środka, którym się dzieje.

Sposób po sobie, w wiedzy naszéj wzięty: jest sposobem samosobnym.

Sposób ducha człowieczego: jest już przez się środkiem sobie; ale musi jeszcze szukać sposobów i środków w przedsobie, przed sobą, zewnątrz, do wykonania sposobu i środka: wewnętrznego.

Sposób i środek wewnętrzny, spólnie ze sposobem i środkiem zewnętrznym: czynią usposobienie umniczo-wykonawcze.

Jak wiedza poprzedza znanie, tak sposób poprzedza środek; ale nie idzie za tém, abyśmy

to, co wiémy, już i znali; jednakże: co już znamy, to już koniecznie i wiedzieć musimy.

Sposób bez środka, co przyczyna bez skutku. — Wiedza urzeczywiszcza się znaniem, a znanie wiedzą, sposób, środkiem, a środek, sposobem.

Sposób i środek, służą sobie odwrotnie. Po znamionach znania, mamy po-zna-nie, a po znamionach sposobu, mamy środek; aże skutek niczém jak tylko objawioną przyczyną, więc i środek niczém innem, jak tylko objawionym sposobem. Sposób jest wizerunkiem w idei. Przez środek odwzoru wizerunku, bierze dzieło, jako ideał z idei, odwzorowany wizerunek. — Sposób formą.

Przez formę od formy, bierze formę materyja, do objawienia za środek użyta; ale, jak materyja przez to, że wzięła formę, nie jest istotną ideją, tak forma przez to: że jest na materyi, nie staje się materyją.— Wzór — jako forma z idei, jako duchowo-umnicze urobienie — przeszła przez sposoby i środki: w pieczątkę i pieczęć. Wizerunek z idei, odbił się przez środek pieczątki, na pieczęci; ale przez to, ani mosiądz nie stał się pieczątką, ani lak, pieczęcią. Mosiądz i lak, zostały, jak były: materyją, a formy przez formy: Ideją. — Kto myśli, że kraje formę z materyi, ten błądzi, tego zmysły zwodzą. On krając, wtedy tylko da formę materyi, kiedy ją kraje: podług formy, którą ma w głowie — w idei. — Natura rodzi i objawia się formami, a człowiek myśli niemi; przez nie, wie i pojmuje. A że formy niczém innem, jak tylko znamionami znaków, po których wiedza przedmioty zna i poznaje, a język z natury swojéj jest symbolicznym: jest formą przez formę rozumu —

Przeto niech nam nikt za złe nie bierze jeżli porównawczo powiémy: Że czém jest sposób, środek, pieczątka, pieczęć — tém jest: Bydź i Być, w naszym języku. (*Werden und Dasein.*) Jak przez pieczątkę staje się pieczęć, tak przez Bydź staje się Być jako Byt. Jak po możliwości idzie możność, tak po Bydź idzie Być. Bydź, bezwarunkowa możliwość objawienia się, a Być, bezwarunkowa możność objawionego. Bydź, nieustanny sposób przez środki, nieustanna pieczątka w ruchu, (*Sein im Werden.*) Być, nieustanna pieczęć w bycie. (*Im Dasein.*) Jedno jak drugie jest samosobne. (*An — für — durch — sich.*) Jedno jest piérwsze, drugie wtóre, a trzecie trzy-ma to wszystko. Przyczyna, środek i skutek treścią bytu. Bydź, dla tego daje w naszym języku przypadek narzędny, że jest narzędziem, narządem, nstrojem. Bydź każe —, dyktuje Byt; z Bydź, bodzie się Byt. Bydź, idzie w będzie, Być idzie w Było. Być, chcąc trwać (*Dauern*) bierze postać, formę, i chce po niéj, w czasie i ntrzeni, stać; chce mieć Bycie — obecność — prezencyje — okaz. Wszystko co mogło być, musiało swoje Bycie, swój Byt przez Bydź, przez formę, brać, bo pieczęć nie mogła poprzedzać pieczątki.

Czyniąc więc z tego wywód cośmy tu pobieżnie powiedzieli, niech nam będzie wolno zapytać: czy niepowinnibyśmy może tam, gdzie się coś czémeś staje, pisać: Bydź, a gdzie tylko o Byt, o prezencyję, obecność idzie, pisać Być. My nie stanowimy, tylko pytamy. Prawda iżbyto trochę utrudniało, ale za to myślić by zmuszało, i przez to samo upewniało: gdzie ma: mianownik a gdzie narzędnik użytym bydź; co dotąd u nas często chwiejno się dzieje. N. p. »U mnie był zabity, u mnie ma być zabity; zdaje się jakby ktoś był, jakby miał być po śmierci. Jaśniej: U mnie mają go zabić, u mnie ma bydź zabitym. — Jutro ma *bydź* deszcz a ja mam *być* u ciebie. Możesz *być* u mnie, bo twoja *obecność* od takich przyczyn i środków nie zależy. — Został na polu zabity. (Zostawiono go.) — Został na polu zabitym. (Zabito go.)« — Jeżeliby w podobnym przypadku ta różnica nie była potrzebną, damy jeszcze dwa przykłady. — O co się Hamlet pyta, gdy mówi: Być albo nie Być? A, o coby się pytał, gdyby mówił: Bydź albo nie Bydź? — Chodziż mu o Byt, lub chce jeszcze raz bydź? — Czy stwórca mógł powiedzieć: Bąć (miéj Byt) kiedy jeszcze Nic nie było? On powiedział: Bądź, kiedy już Nic było, bo z tego Nic stworzył wszystko. — Duch języka nie da się wziąć z wierzchu. Kto język umie, niechże nim i umieje. *t. n. k.*

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 2gi i zawiera: 1) O oszacowaniu dóbr w celu zadzierżawienia ich; przez K. J. Turowskiego. 2) O jęczmieniu himalajskim i kawalerskim, uprawianym w Czerwonogrodzie. 3) Jak leczyć krwawnice czyli zadnik u bydła rogatego? 4) Rozporządzenie rządowéj komisyi względem wystawy wyrobów przemysłowości odbyć się mającéj w Wiédniu. 5) Wiadomości handlowe. 6) Raporta handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 2gi i zawiera prócz mód następujące artykuły: 1) Lazzara. wiersz przez Kornela U...... 2) Przypomnienia z podróży po kraju. (Dokończenie.) 3) O romancach i pieśniach hiszpańskic... [illegible]) Teatr.

Niesiecki o wódce. W obecnéj chwili, kiedy sprawa wódki tyle powszechność zajmuje, ciekawym jest szczegółem, jak przed stu laty poważny kapłan Niesiecki uważał ten przedmiot, przytaczając zdanie poważniejszego jeszcze kapłana, Jędrzeja Lipskiego, kanclerza wielkiego koronnego, późniéj biskupa krakowskiego w r. 1631 zmarłego, który zwykł był mawiać: »*Jak ten mniéj rozumny, który wódki gdy potrzeba, nie pije; tak i ten, który nazbyt, albo gdy jéj nie potrzeba, pije.*« (Zobacz Korona Polska. Wydanie lwowskie r. 1740. Tom. 3. Stron. 116.)

Wóz króla Jana III kazalnicą. Tryjumfalny wóz, którego ten wiekopomny pogromca Turków po odsieczy wiedeńskiéj użył, znajduje się teraz we wsi Raddatz, właściwie Hradec, koło Neu-Stettin, należącéj rodzinie Klejstów, i jest w tamecznym kościołku na kazalnicę obrócony. Jenerał Klejst miał go podczas wojny siedmioletniéj znaleźć w pewnym czeskim klasztorze i zabrać z sobą do Raddatz, gdzie dla przechowania i uwiecznienia tak szanownéj pamiątki, przeznaczył go do teraźniejszego kościelnego użytku. Dość jeszcze czytelny napis na rydwanie dowodzi autentyczności tego historycznego zabytku.

Igła magnesowa wskazująca na południe. Na ostatniém posiedzeniu akademii umiejętności w Paryżu przedłożył p. Biot swoje dostrzeżenia nad używaniem kompasu w Chinach. Sławny ten oryjentalista wyczytał w chińskich księgach wzmiankę o pewném narzędziu astronomijném, które na południe

wskazowało i już na 27 wieków przed Chrystusem powszechnie znaném było. Osobliwszą jest rzeczą, iż igła magnesowa w Chinach i teraz jeszcze na południe wskazuje, przeco od owego czasu żadna tam deklinacyja jej zajść nie mogła.

Szlachta w królestwie Walencyi dzieli się na trzy klasy, to jest na krew niebieską, czerwoną i żółtą. Niebieską krew mają rodziny grandów i tych które się do nich liczą; czerwoną — stare szlacheckie domy, a żółtą — nowa szlachta, której szlachectwo 200 lat nie przechodzi. Każda z tych klas unika starannie wszelkiego związku z dwoma innemi, każda miewa swoje osobne tertullie, bale i t. p. a wszystkie nienawidzą się na śmierć wzajemnie.

Sztajnkellerka. Pod tą nazwą znane są w królestwie polskiém szybkowozy, budowane w fabryce warszawskiego bankiera Steinkellera. Z téjże saméj fabryki, i pod tąż samą nazwą, wyszły także powozy, których w królestwie polskiém obecnie do transportowania więźniów używają. Sąto kolosalne wozy z bardzo mocnego drzewa, czarnego koloru, i bez żadnych okien. Dzielą się we środku na dwa rzędy wązkich czworograniastych komórek, znajdujących się na wzdłuż wozu, po jego obu bokach. Mały pomiędzy temi dwoma rzędami komórek ciągnący się kurytarzyk służy do nadzoru i opatrowania więźniów. Wszystkie komórki mają drzwiczki wychodzące na kurytarzyk; w każdych drzwiczkach jest małe, kraciaste a oprócz tego zewnętrzną okienniczką zamykające się okienko, jakto zwykle w więzieniach widzieć można. Przy transporcie siedzi każdy więzień zosobna w swojéj komórce, na desce, opatrzonéj otworem w spodzie. Światło i powietrze dochodzą do tych komórek za pomocą okrągłéj, w daszku komórki umocowanéj rury, mającéj kształt komina. Wszelka komunikacyja pomiędzy osadzonymi w tych komórkach więźniami jest niepodobną. Rysunek czyli model tych wozów przysłano z Petersburga.

Środek uwiecznienia życia ludzkiego. Dziennik *Revue Britanique,* pisze co następuje: Profesor van Grusselback ze Sztokholmu, zdziwiony zjawiskami długowieczności zwierzęcej, mianowicie powodem znalezienia żywéj ropuchy w odłamie skały wapiennéj, gdzie podług wszelkich obliczeń geologicznych musiała przez kilka tysięcy lat zostawać, powziął myśl wybadania i przywłaszczenia sobie téj tajemnicy natury. Po dwudziestu dziewięciu leciech pilnego śledzenia i doświadczeń czynionych na przeszło 60.000 zwierzętach, jako to rybach, płazach, i t. d. poważył się ten uczony przenieść wreszcie swe próby i na ludzką naturę. Sposób którego on przytém używa, zależy jedynie na stopniowém zniżaniu temperatury aż do przyprowadzenia indywiduów za pomocą zimna do stanu zupełnéj otrętwiałości, wystrzegając się uszkodzenia organów i nadwerężenia tkanek. Wprawieni w ten stan ludzie mogą podług słów uczonego profesora, zostawać seciny i tysiące lat, a potém powstać z tego snu wiekowego równie świeżym i zdrowymi jak byli w chwili przedsęwziętego z nimi doświadczenia. Między innémi ciekawościami, które p. Grusselback posiada, jest mały, sztywny i jak kawałek marmuru zimny wąż, który skropiony pewnym pobudzajacym płynem, staje się tak rzeskim i ruchawym, jak był w chwili gdy go złowiono. Profesor zostawił go przez sześć lat w stanie zdrętwienia, nim go poraz pierwszy przywołał nazad do życia. Lecz ze wszystkich przedmiotów, znajdujących się w pracowni p. van Grusselback, jeden wzbudza najbardziej uwagę i podziwienie. Jestto młoda Szwedka, zdająca się mieć około lat dziewiętnastu. Skazana na śmierć za dzieciobójstwo, została wydaną profesorowi za przedmiot do oświadczeń. Prócz lekkiéj bladości, która twarz jéj okrywa, nie różni się na pozor od osoby słodkim snem uspionéj, lubo podług słów profesora od dwóch już lat zostaje w tym stanie nieczułości zupełnej. Po pięciu dopiéro leciech obudzi ją p. Grussellback z letargu i objawi całemu światu cudowny swój wynalazek. — Pytanie: czy to może bydź?

Poseł Szczęsnego Potockiego. Pan Szczęsny przechwalając jednego razu spryt ukraińskich kozaków powiedział, że kozak i w Paryżu dałby sobie radę z rozumem swoim. Pan Adam Moszczeński, nieprzyjaciel wszystkiego co było chłopem, gdy temu zaprzeczał, pan jenerał na zakład go wyzwał. — »Mości panie Dyszlesiu,« rzecze do stojącego dworzanina, »zawołaj mi którego z kozaków.« Wybór padł na Olexę Swystuna. »Słuchaj mój kochany,« mówił Szczęsny Potocki, kończąc list dopieroco napisany — »czy byłeś kiedy w Paryżu?« — »Nie byłem nigdzie panie hrabio, prócz Tulczyna i Humania!« — »To dobrze: oto masz list do pana de la Garde. Czy pamiętasz starego Francuza?« (Byłto tłumacz Zofijówki Trembeckiego.) — »Pamiętam panie.« — »Jedź więc do Paryża, oddaj mu list ten, i proś o odpis; rozumiesz?« — »Słucham panie.« — »Pieniądze na drogę wyda ci kasyjer.« — »Słucham panie.« — »No, a teraz z Bogiem.« Wyszedł Olexa, schował list i pieniądze do kieszeni, osiodłał konia, i nie wiedząc gdzie Paryż — gdzie pan de la Garde — jakim językiem tam mówią — pojechał. Co robił Olexa, aby się sprawić z swego poselstwa — niewiedzieć; ale to pewna, że zdrowo i cało powrócił do Tulczyna i odpis z sobą przywiozł. »A jakże waszeć dopytałeś się do pana de la Garde, kiedy po francuzku nie umiész?« zagadł go Szczęsny Potocki. »Nie umiém jasny panie, ale na końcu języka wszystko się znajdzie. Naprzód dopytałem się do Paryża. Lecz jak'em wjechał do miasta, jak zobaczę że ono takie wielkie, że starzy i dzieci dziwnie jakoś szwargoczą i że ostępują mnie dokoła, jakby niedźwiedzia, pomyślałem — źle będzie. Ja do nich: A gdzie tu pan de la Garde? A oni w śmiech, i nuż szwargotać po swojemu. Spytałem raz drugi i trzeci, a daléj złość mię już wzięła, jak porwę piérwszego Francuza za łeb, i nuż go młyńcem obracać. Oni w krzyk do mnie, a ja też do nahajki. Przyszła wreszcie policyja i wzięła mnie i Francuza. Oni do mnie szwargoczą, a ja po swojemu, wszystko im gadam, że jestem z Ukrainy. Musieli, widać, coś i zrozumieć, bo wynaleźli jakiegoś Laszka, co się przecie ze mną rozmówił. Naśmiał się panek do woli; mnie kazali zbitemu Francuzowi zapłacić 2 dukaty, a wkońcu on sam zaprowadził mię do pana de la Garde. Śmiał się stary, że ledwie nie pękł, jak mu Francuz po swojemu rozpowiedział historyję, a mnie jak źwierza jakiego przychodzili panowie z miasta oglądać. Nareszcie odpisał Francuz, a jam pojechał.« — »Łepski's kochanku, weźże zakład coś wygrał, a za to coś wycierpiał bądź atamanem;« rzekł uradowany Potocki. — Olexa Swystun, którego wielu znało, opowiadał często to swoje poselstwo do Paryża.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.